TU *i* TERAZ

WYBÓR TEKSTÓW

Józefa Hennelowa

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2020
© Józefa Hennelowa, 2020

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin
Redakcja: Anna Mateja, Zofia Katarzyna Morstin, Paweł Stachowiak
Korekta: Katarzyna Stokłosa, Katarzyna Onderka
Projekt okładki: Marcin Jakubionek
Fotografie: Adam Walanus
Skład: Edycja

ISBN 978-83-277-2483-0

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: ABEDIK Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 80 g wol. 1.6
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Wstęp

Józefa Hennelowa, Pani Ziuta. Każdy dawny czytelnik „Tygodnika Powszechnego" wie, o kim mowa. Opatrzność daje łaskę długiego życia tym, którzy mogą świadczyć o ludziach i sprawach pozornie należących do przeszłości, ale ważnych dla nas „tu i teraz". Oni są dla nas, współczesnych, bezcennymi świadkami epoki, gdy niełatwo było zachowywać przyzwoitość, kroczyć drogą rozsądku, ale i prawdy, rozróżniać czas kompromisu od czasu świadectwa. Potrafiło to czynić środowisko „Tygodnika…", kierowane „mądrością etapu" Stommy, Turowicza, Kozłowskiego i Hennelowej. Ten „neopozytywistyczny" imperatyw dotyczył nie tylko tego, co dziś należy już do historii – relacji z komunistyczną władzą, ale również wciąż aktualnych problemów Kościoła, świata i Polski. Roztropność w ocenianiu współczesnych zjawisk, odczytywanych w duchu ewangelicznym, niesłabnące zainteresowanie tym, co „tu i teraz", ale zawsze w kontekście zakorzenienia w tradycji, to wyznaczniki myślenia i pisania ludzi środowiska, którego – obok Stefana Wilkanowicza – najstarszą przedstawicielką jest Pani Ziuta.

Jej doświadczenie, w którym jest nie tylko czas, ale są również miejsca i ludzie, ma walor bezcenny. Dzięki niej możemy sięgnąć do czasów dawnego Wilna, zasiąść w ławach powojennego, jeszcze nie złamanego UJ, zajrzeć do redakcji „Tygodnika", spotkać

na korytarzach Turowicza, Bardeckiego, Stommę, Gołubiewa, Kisiela, Wojtyłę i tylu, tylu innych, najważniejszych ludzi tamtej epoki. Możemy wraz z Nią zasiąść na sali toruńskiego sądu i obserwować proces zabójców ks. Jerzego Popiełuszki, uczestniczyć w setkach spotkań, współtworzyć kształt nowej Polski po roku 1989. To niezwykła perspektywa, powinna nas ona skłaniać do uważnego wsłuchiwania się w głos Pani Ziuty.

Dla całego środowiska inspirowanego duchem i spuścizną „Tygodnika Powszechnego" jest Pani Ziuta stałym i niezmiennym drogowskazem, któż inny bowiem ogarnia dziś całe niemal dzieje czasopisma, które potrafiło zachować rolę jedynego opozycyjnego ośrodka „między Łabą a Władywostokiem"? Dzisiejszy „Tygodnik…" nie ma z Nią łatwo. Pani Józefa nie zawsze akceptuje wszystkie wybory swych redakcyjnych dzieci i wnuków, nieraz ich chłoszcze za brak historycznej perspektywy, za to że, Jej zdaniem, nie kultywują w dostatecznym wymiarze pamięci swych antenatów. Ba, potrafi nawet spojrzeć na Redaktora Seniora z perspektywy starszej koleżanki, to i owo mu wytknąć. Czasem się na to zżymają, ale przecież wiedzą, że to wszystko nieważne, mało istotne, naturalny konflikt pokoleń, to minie, bo Jej słowa zasługują na refleksję, są ważne „tu i teraz", nawet jeśli niektórym zdają się tylko świadectwem przeszłości.

Kluby „Tygodnika Powszechnego" uznają za swoją legitymację fakt, że Józefa Hennelowa zechciała publikować felietony na klubowej stronie. Od roku 2012 aż do dziś jest Ona regularnie obecna w tym miejscu. Kluby miały i mają problem ze swą tożsamością, jaka powinna być natura ich relacji z Redakcją „TP", czy mogą i powinny kultywować pamięć o tygodnikowo-znakowej tradycji? Kluby to „Tygodnik" czy nie do końca? Obecność Józefy Hennelowej na stronie klubowej to znak, że są one wewnątrz, nie poza, że stanowią część tygodnikowej tożsamości, że stanowią ważny czynnik jej promocji w „czasach nowych".

Niniejszy tom nie rości sobie prawa do nakreślenia panoramy dorobku Józefy Hennelowej, pragniemy jedynie utrwalić w pamięci słowa najnowsze, pisane wtedy, gdy Jej nazwisko przestało już być obecne w przestrzeni medialnej. Każdy, kto zechce poznać wcześniejsze teksty Pani Ziuty, zdobyć pełniejszą wiedzę o tym, kim jest, według jakich zasad i wartości myśli czy działa, powinien sięgnąć do licznych książek Jej autorstwa. Wymieńmy jedynie kilka: *Votum separatum. Publicystyka 1982–1999*, *Niedowiarstwo moje. Refleksje religijne* oraz wywiad rzekę *Bo jestem z Wilna…* I najnowsza, głęboko osobista: *Otwarty, bo powszechny. O Kościele, który może boleć*, znakomicie opracowana przez Annę Mateję, wydawczynię 3-tomowego wyboru pism Jerzego Turowicza. To dzięki jej cotygodniowej pracy i zaangażowaniu Zofii Katarzyny Morstin felietony Józefy Hennelowej mogły znaleźć swoje miejsce na stronie Klubów „TP".

Pani Józefo, ten tom, zawierający teksty, które zechciała Pani powierzyć Klubom „Tygodnika Powszechnego", jest wyrazem naszej czci i uznania dla wszystkiego, czego Pani dokonała podczas dziesiątków lat współtworzenia środowiska „TP", jednego z fundamentów niepodległej Rzeczpospolitej. Proszę pamiętać, Kluby „TP" będą czynić wszystko, aby tygodnikowa spuścizna nie została zapomniana. One po to istnieją. Niech Bóg darzy Panią łaską zdrowia ducha i ciała, po najdłuższe lata.

Paweł Stachowiak

Tu i teraz

11 października 2012

Zaproszenie do portalu internetowego Klubów „Tygodnika Powszechnego" to niespodzianka, z którą trzeba sobie poradzić. Czy mam prawo zajmować komuś czas, pozostając na coraz węższym marginesie tego, co się dzieje? I co robić, jeśli nie zgadzam się z tekstem z ostatniego numeru „Tygodnika Powszechnego" – przykładem jest choćby, tak gromko ogłoszony, manifest Kościoła Otwartego („TP" nr 40, 30 września 2012). Otwartość Kościoła rozumiem nie jako jego wyróżnik, cechę do dyskusji, lecz jako po prostu ewangeliczność, bo przecież Kościół był, jest i będzie posłany do wszystkich bez wyjątku. Czy mam prawo występować ze swoim zdaniem?

Pomocą i odpowiedzią staje się tytuł, który proponuję także na przyszłość – *Tu i teraz*, bo przecież tak naprawdę to jest właśnie rzeczywistość zadana każdemu, czy jest w największej wspólnocie, czy w zupełnej samotności. A jeśli zadanie, to także sens, a zatem i nadzieja.

Wszystko byłoby optymistyczne, gdyby nie to, że czas wydaje się nieustannie mnie wyprzedzać, tak samo jak wszystkich dookoła. Jeszcze parę dni temu wydarzeniem z kręgu „tu i teraz", wydarzeniem ważnym i bardzo pocieszającym, było dla mnie przysłuchiwanie się debacie Klubów w Łagiewnikach (6 października)

i to tej debacie, która wydała mi się najważniejsza: *Wierzyć, jak to łatwo powiedzieć…* Bez porównania ważniejszej niż wszystkie pytania i niepokoje związane z manifestem otwartości Kościoła. Cieszyłam się na ciąg dalszy, nawet bez mojej obecności, w innych miastach albo na łamach pisma.

Wydarzeniem tak samo godnym uwagi i pocieszającym był krakowski wieczór we wtorek, 9 października. Prezentacja dorobku Jacka Woźniakowskiego, wznowiona przez wydawnictwo Universitas, i dyskusja kilku osób – ks. Adama Bonieckiego, Adama Michnika, prof. Jacka Purchli, prof. Stanisława Rodzińskiego, Henryka Woźniakowskiego (prowadzenie: Nawojka Cieślińska-Lobkowicz, która sześciotomowy wybór pism prof. Woźniakowskiego przygotowała do druku) – których warto zawsze słuchać, bo razem z autorem wznowionych pism tworzyli świat najbliższych mi myśli i odkryć.

Ale wystarczyło środowego posiedzenia Sejmu (10 października), żeby „tu i teraz" zmieniło się w awanturę. I to pełną znaczenia, perspektywicznie bardzo ważną. Projekt zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej – mimo wniosku o odrzucenie – skierowany do pracy w komisjach oznacza powrót do wizji budowania moralności społecznej przede wszystkim przy pomocy środków bogatych, w tym wypadku systemu zakazów i kar prawnych. To jest wizja sięgająca bardzo głęboko, godna najwyższej uwagi i zastanowienia. Na razie trzeba przypomnieć i postulować tylko jedną sprawę – moralność to jest odpowiedzialność przede wszystkim własna. Za cudze sumienie nie będziemy rozliczani. Dlatego projekt ustawy, która ma chronić życie dzieci nierokujących zdolności do samodzielnego egzystowania i najsłuszniej w świecie przypominać, że to życie jest tyle samo warte, musi bezwzględnie być uzupełniony tym punktem prawnym ustawy, w którym rodzicom nie tylko zabrania się ich eliminacji, ale także gwarantuje pomoc, bez której nie potrafią sobie przecież poradzić, gdy dziecko się urodzi.

A nadto – zgodnie z zasadą uczciwości, że heroizmu wolno wymagać tylko od siebie, a nikomu nie narzucać – ta sama ustawa winna gwarantować, że jeśli matka nie czuje się na siłach podjąć odpowiedzialności za swoje macierzyństwo, państwo i społeczeństwo zapewnią temu dziecku opiekę na miarę jego potrzeb.

Taki komentarz usłyszałam zresztą w ciągu jednej doby przynajmniej kilka razy i uważam, że powinien być powtarzany, i to nieustannie, wszystkim autorom projektu, którzy będą dążyli do jego uchwalenia w polskiej rzeczywistości prawnej. Inaczej tryumfalne ogłaszanie zwycięstwa „obrońców" życia brzmiałoby nieprawdziwie.

O klęsce mediów

24 października 2012

Od niedawna znajduję w „Tygodniku Powszechnym" dużo listów do redakcji, a jest to rubryka, z której istnienia cieszę się wyjątkowo mocno. Bo wprawdzie rozumiem niepokoje autorów tekstów *Rzeczpospolita dezinformacji* i *Duch dziejów się ulotnił* z „Tygodnika" nr 42 i 43 (wydania z 14 i 21 października 2012), którzy szukają przyczyn klęski mediów, jednak bez rozmowy pisma z czytelnikami żadne medium na dłuższą metę nie może kwitnąć. Tylko współdziałanie, a nie bierna konsumpcja, daje życie. Mam też nadzieję, że przynajmniej w prasie katolickiej powróci rubryka przeglądu prasy wartej uwagi i wtedy, kiedy się jej zdanie podziela, i wtedy, kiedy warto na ten temat toczyć dyskusje. Liczy się przecież współdziałanie, a nie propaganda.

Jest jednak coś ważniejszego – pisma, tytuły, programy mogą ginąć, natomiast problem zawodu dziennikarskiego to sprawa osobna. To ta profesja, a nie same redakcje, zdają teraz najtrudniejszy

egzamin. To jakość tego zawodu, a mówiąc dobitniej: etyka dziennikarska albo jej brak, rozstrzyga o tym, czy ten zawód jest jeszcze coś wart. Tymczasem problem etyki, wydaje się, przestał już zaprzątać gremia zespołów redakcyjnych, a nawet same kierownictwa stowarzyszeń dziennikarskich (w tym również stowarzyszenia z przymiotnikiem: „katolickie"). Od kiedy nie obraduje już Rada Etyki Mediów? Niedawno przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich stanął pod zarzutem współtworzenia imprezy partyjnej, co przecież jest zaprzeczeniem najbardziej elementarnych zasad dziennikarstwa, i nie wyjaśnił niczego, nikt również niczego od niego nie chciał.

Kiedy się zrodzi niepokój związany z faktem, że tylu pierwszoligowych dziennikarzy nie ma własnego zdania w kwestiach spornych, jeśli tylko pojawia się obowiązek dania świadectwa lojalności partyjnej? To samo dotyczy manipulowania gościem albo gośćmi zaproszonymi do „dyskusji". Kiedy zginęła troska o niemieszanie komentarza z informacją? Kiedy przestało przeszkadzać wprowadzanie języka inwektyw i pogardliwego traktowania każdego, kto stoi na innym stanowisku? Bardzo bym chciała namówić moich dawnych kolegów z „Tygodnika Powszechnego", żeby nie tylko zapraszali gości do dyskusji nad tymi zmartwieniami, ale podzielili się własnymi doświadczeniami w tej mierze.

Na koniec pozwalam sobie wyrazić prośbę związaną z problemem, któremu poświęcam ten komentarz. Prośbę pod adresem ojca dyrektora radia toruńskiego: w ciągu kilku dni w okolicy 20 października, w kolejnych wypowiedziach ojca dyrektora słyszałam następujący zwrot, opatrzony bardzo poważnymi oskarżeniami: „media wątpliwego nurtu". Nie rozumiem tego wyrażenia, nie wiem, czego dotyczy. Uważam, że powinno ono być wyjaśnione precyzyjnie, z podaniem definicji i przykładów.

Bronię kultury dyskusji

8 listopada 2012

Nie mam jeszcze nowego numeru „Tygodnika Powszechnego". Przypuszczam, że to, co było najgłośniejsze w minionych dniach, „Tygodnik" skomentował. Ale ja chciałabym pierwsze linijki poświęcić samemu „Tygodnikowi", żeby szczerze powiedzieć (a to w związku z apelem redakcji do przełożonych Redaktora Seniora – „TP" nr 45, 4 listopada 2012, s. 3), że wcale tak bardzo się nie martwię zakazem wydanym mu przez zwierzchność rok temu, żeby nie występował w telewizji ani radiu. Awantury, które zaprezentowały oba media w ostatnich dniach, kiedy dziennikarze bez najmniejszych zahamowań wrzeszczeli na siebie, nie pozwalając na żadną dyskusję, a gospodarze programu nie byli w stanie nad nimi zapanować, postawiły kropkę nad i wobec poczucia, że wypowiedzi przed kamerami i mikrofonami to marnowanie czasu. Jeżeli ktoś, kto stanowi autorytet duchowy i umysłowy, może zamiast udziału w takich gremiach napisać jeszcze parę książek, które będą czytać bodaj i nasze wnuki, to naprawdę nie warto się martwić. No i na pewno nie warto używać w „Tygodniku" nieuprzejmych form interwencji, zwłaszcza na terenie tak delikatnym jak przełożeństwo i posłuszeństwo w zakonie. I na pewno również nie warto obdarzać prawem publikacji listów, których autorzy nie mają odwagi podpisać się nazwiskiem, o podaniu nazwy miejscowości nie wspominając.

Ja wiem, że kultura publicznej dyskusji już prawie zanika, ale trzeba jej bronić na takich łamach jak „Tygodnik", cokolwiek by się działo.

A drugą uwagę odnieść chcę właśnie do tego tematu, który w ostatnim tygodniu spowodował największe poruszenie i zgorszenie równocześnie. To wytykanie przez polityków, dziennikarzy

i odbiorców, kto powinien był zjawić się na pogrzebie prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego w świątyni Opatrzności Bożej, a kto się nie zjawił. Każdy, kto zabierał głos, demonstrował najwyższy stopień zgorszenia, oburzenia, gniewu i pretensji. Także ci, którzy sami na pogrzebie nie byli. Jak gdyby nikt nie zdawał się ani przez chwilę pamiętać, że gdyby tam zjawili się ci wszyscy przedstawiciele władzy (którzy *nota bene* reprezentowani byli każdy przez swego zastępcę), nikt pewnie nie byłby w stanie zapewnić, że powagi żałobnej nie zdepcze buczenie, obelżywe okrzyki, znieważające transparenty i że po prostu najbliższa rodzina zmarłego tego właśnie nie chciała i na to nie zasługiwała.

Na koniec jedno życzenie, prawie modlitwa: żeby w tym roku Święto Niepodległości nie zostało sprofanowane jak w zeszłym.

Pytanie o patriotyzm

13 listopada 2012

Kiedy w „Tygodniku Powszechnym" na 11 Listopada przeczytałam tekst ks. Adama Bonieckiego (*Wspólnota*, „TP" nr 46, 11 listopada 2012, s. 2), zrobiło mi się żal, że autor, cytując na końcu wiersz Kasprowicza, po prostu nie przepisał go w całości. Wydaje mi się, że ta poezja jest już zupełnie zapomniana, a w każdym razie wśród setek tysięcy słów wypowiedzianych z okazji tego święta ani jedno nie było nawiązaniem do oskarżenia i wyznania sprzed tylu lat. Pewnie słusznie, bo nikt zdawał się nie potrzebować w tym dniu rachunku sumienia, za to trybunów oskarżających było bez liku.

Najbardziej zdumiało mnie wyznanie pewnej posłanki biorącej udział w Marszu Niepodległości, że widziała w nim całe rzesze „wielkich patriotów". Po czym poznaje się takich ludzi w marszu

masowym, podczas którego jedynym obowiązkiem jest spektakularne kroczenie w pochodzie, ewentualnie ze skandowaniem i podnoszeniem flag? Patrząc wstecz na Dzień Niepodległości, mam wrażenie, że słowem najczęściej używanym było w nim nawet nie imię ojczyzny, lecz właśnie słowo „patriotyzm" traktowane jako wyróżnik i jako cnota najwyższego rzędu. Tylko że wszystko, co w tym słowie jest zawarte, dla wypowiadających się zdawało się realizować przede wszystkim w tym marszu. Nie we mszy za ojczyznę, nie w odwiedzinach grobów, nie w milczącym hołdzie i nie w radości, z jaką każdy – świadomy, że uroczystość należy do niego i jest ogromnym darem – chce po prostu się cieszyć.

Gdybym była w stanie uczestniczyć w warszawskich wydarzeniach niedzielnych, chciałabym – odszedłszy sprzed Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie w dalszym ciągu i zawsze powinno się zaczynać świętowanie 11 Listopada – pójść z wieloma ludźmi podobnie jak ja czującymi jeszcze w dwa miejsca: do podziemi katedry, gdzie spoczywają prezydenci dwudziestolecia i prymas Wyszyński, a także na Pole Mokotowskie, gdzie od niedawna dzieje się coś bardzo ważnego i wyczekiwanego: odkrywane są nareszcie szczątki ofiar stalinizmu, bohaterów najczarniejszego okresu terroru powojennego. Chciałabym pobyć tam, żeby im wszystkim podziękować za to, co dostaliśmy znowu i czego obyśmy nigdy nie zmarnowali.

Popieram ministra Boniego

5 grudnia 2012

Umarł Przyjaciel – prof. Jacek Woźniakowski – jeden z tych, którzy rozpoczynali historię „Tygodnika Powszechnego", a potem całego środowiska. I chciałoby się spokojnie skupić na wspominaniu

z wdzięcznością całego Jego dorobku i wspólnych przeżyć. A tymczasem nie da się nie reagować na zjawisko tak dotkliwe i sytuację tak dojmująco aktualną jak apel ministra administracji i cyfryzacji Michała Boniego. I od razu powiem, że hasłem wywoławczym jest dla mnie kategoryczne stwierdzenie: Michała Boniego, który zaapelował o przeciwstawianie się mowie nienawiści i wszelkim objawom nietolerancji, trzeba poprzeć, bo on ma rację. Gdybym to mówiła głośno, postarałabym się o trzy wykrzykniki. Boni ma rację w tym, że wreszcie nas wezwał do spojrzenia prosto w oczy złu, które przecież nie od dziś jest rzeczywistością społeczną i polityczną; z której wyniknąć może nieprzewidywalny w skutkach wybuch destrukcji.

Opinia dostarczana nam przez media zawiera od czasu wygłoszenia apelu ministra Boniego głównie protesty, krytyki i wybrzydzania. „To nic nie da" – mówią jedni i tłumaczą dlaczego. „To będzie miało skutki gorsze od samej choroby" – mówią inni. Większość stara się dowieść, że zjawisko albo nie istnieje, albo jest winą i odpowiedzialnością tylko strony przeciwnej. Wtedy następuje licytacja na słowa nienawiści i takie, które nimi jeszcze nie są, albo językoznawcze wywody, co to jest mowa – w tym również mowa nienawiści. Kończy się na wymienianiu nazwisk i atakowaniu konkretnych postaci za pojedyncze zachowania, a niebezpieczeństwo, które nam wisi nad głowami, zostaje zignorowane. Tymczasem Michał Boni może się mylić w wielu praktycznych propozycjach, ale winien być słuchany w tym, co najważniejsze: w nazwaniu choroby, która nas toczy. Zamiast uświadomienia sobie, że ta choroba zagraża państwu, a nie lokalowi jednej partii czy jednego stowarzyszenia.

Kontynuuje się w polskich mediach nieodpowiedzialne zagęszczanie sensacyjności. Chciałabym wreszcie zobaczyć dziennikarza, który odbierając telefon agresywnego słuchacza, obrażający jakiegoś jego przeciwnika, zareaguje bodaj jednym słowem.

Chciałabym zobaczyć program informacyjny, w którym po raz dziesiąty w ciągu dnia nie zostanie pokazany polityk znieważający swojego wroga w imię podobno najświętszych przekonań i wartości. Chciałabym bez lęku przyjmować komunikat o uroczystej ofierze mszy świętej, która nie będzie stanowiła tylko usprawiedliwienia dla dalszych punktów tego samego programu już ściśle politycznych zachowań, na przykład marszu, transparentów, skandowania haseł.

Nienawiść może bowiem zawłaszczyć także świat wartości i to byłoby najgroźniejsze.

Tysiąc dobrych znaków

11 grudnia 2012

Im więcej dociera wiadomości o podejmowanych w tysiącach miejsc Polski staraniach o bliźnich, o sprawienie im chociaż chwili radości na Boże Narodzenie, tym większa nadzieja, że nie zatryumfują nad nami wydarzenia ponure i pokusa, aby na nich się skupić, szukając winnych, koniecznie za dzielącymi nas barykadami.

Chciałabym dzisiaj po prostu dołączyć swoje życzenia do tego tysiąca dobrych znaków. I będzie to życzenie bardzo proste: aby jak najwięcej z nas potrafiło ofiarować komuś na Gwiazdkę swój czas i swoją obecność. Nawet bez prezentu, bez paczki, bez odśpiewanej kolędy, jeżeli brak nam głosu i słuchu. Największym ciężarem człowieka było, jest i będzie osamotnienie, i jeśli tylko można na chwilę bodaj je unicestwić, ofiarując czas bez rachuby, obecność, która potrafi obyć się bez słów, ale jest otwarta na tego, przy którym usiądziemy, to Boże Narodzenie staje się znowu rzeczywiste, a nie tylko tradycyjne i konwencjonalne.

Gdy przyjdą do ludzi samotnych – i w swoim odczuciu niepotrzebnych – wolontariusze ze wspólnoty parafialnej, oby mieli chwilę więcej czasu, by nie tylko złożyć życzenia i wręczyć upominek, ale pozostać dłużej. A najbardziej marzę o ziszczeniu się rzeczy niewyobrażalnej w tej chwili: że właśnie w wielkie święta, takie jak Boże Narodzenie i Wielkanoc, samotni w domach, z których już wyjść nie potrafią, doczekają się wysłannika niosącego im Eucharystię. Chrześcijanie pierwszych wieków, docierający z Eucharystią także do więzień, pewnie by nie uwierzyli, że to w naszych warunkach uznawane jest za niewykonalne, chociaż tak właśnie jest na przykład w Polsce. Wierzę, że kiedyś okaże się to możliwe.

Lekcja mądrości

18 grudnia 2012

Niepamięć bywa błogosławiona. Goi rany z przeszłości, łatwiej pozwala przebaczać albo odzyskiwać zaufanie do bliźnich czy siebie samego. Ale ta sama niepamięć to kalectwo albo pułapka, gdy z przeszłości chcemy za wszelką cenę wyciągnąć, jak z banku, korzyści na przyszłość. Wtedy najczarniejszy obraz z wczoraj, potrzebny jak listek lauru na głowę, może prowadzić do nieprawdy.

Będę szczera: zupełnie nie rozumiem, dlaczego musieliśmy z takim natężeniem obchodzić 13 grudnia, czyli trzydziestą pierwszą rocznicę wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. To było po prostu świętowanie, chociaż przecież ta data nie nadawała się do tego zupełnie. Przecież myśmy tutaj sięgnęli po tak mało fortunne zagrania, jak tak zwane rekonstrukcje z przebieraniem się w akcesoria tamtego dnia i powtarzaniem scen, które miały być pełne martyrologii, a były z konieczności tylko zabawą. Przecież rozpętano w mediach całą rzekę wspomnień, które okazywały

się często konfabulacją. I nawet trudno mieć pretensje do dziennikarza, który dziś ma niepełną trzydziestkę, że na przykład nie wiedział, iż z internowania działacze „Solidarności" często wychodzili nie na wolność, lecz do więzienia kończącego się procesami. Wspomnienia ludzi rozciągały się od zupełnej czarności po naiwną nierealność. I jedyną możliwość zrozumiałego odniesienia do tamtego czasu – to znaczy skupioną pamięć o ofiarach, a także ludziach najbardziej zasłużonych – jak zwykle potraktowaliśmy prawie marginesowo.

Dlatego chciałabym przypomnieć ten zespół faktów związanych z tamtym rozdziałem historii, o którym ku mojemu zdumieniu nikt w tym roku nie powiedział ani słowa. Było bardzo dużo odniesień do autora stanu wojennego, pełnych nieukrywanej chęci jak najsurowszego wymierzenia kary bodaj dzisiaj. Był gorszący telewizyjny spór dokoła wiadomości o polityku odwiedzającym gen. Wojciecha Jaruzelskiego w szpitalu. Więc może przypomnijmy, że tuż po zawieszeniu stanu wojennego, w czerwcu 1983 roku Jan Paweł II odwiedził Polskę jeszcze pełną więźniów, a podczas tej wizyty nie tylko przyjął gościnę w Belwederze i wysłuchał przemówienia generała, na które odpowiedział, punktując wszystkie swoje zatroskania o Polskę, ale także kilka dni później spotkał się z gen. Jaruzelskim na Wawelu, odbywając długą rozmowę w cztery oczy, której treści nigdy nie poznaliśmy. Dla nas była to przecież lekcja prawdziwej mądrości i powagi w odniesieniu do najtrudniejszych egzaminów.

Czy nie było lepiej sięgnąć dziś po tamte homilie i czytać je niekoniecznie w aurze rozkołysanych emocji, jakie na przykład towarzyszą manifestacjom ulicznym? Do życzeń składanych czytelnikom przed tygodniem, po wszystkich przeżyciach ostatnich dni, chciałabym dołączyć jeszcze to jedno życzenie: żebyśmy mogli lepiej obchodzić się z pamięcią i niepamięcią. Tym bardziej że mamy, chociaż już po tamtej stronie, Nauczyciela i Mistrza.

Marzenie na Nowy Rok

28 grudnia 2012

Życzenia przy opłatku bożonarodzeniowym składamy innym: od najbliższych po przygodnych wędrowców. Ale życzenia na Nowy Rok można chyba złożyć także samemu sobie, mając nadzieję, że to nie są życzenia nazbyt egoistyczne. Takie życzenie właśnie chowam na koniec tego tekstu i jest to życzenie, o którym marzę.

W tegoroczne święta kilka przekazów, które do mnie dotarły, było szczególnie pocieszających. Przyjaciel z Niemiec w świątecznym telefonie opowiedział o swojej radości, że córka wolontariuszka, spędzająca obecne miesiące w Betlejem w ekipie pomagającej dzieciom niepełnosprawnym umysłowo, przyleciała na parę dni świętować Boże Narodzenie z rodziną. A ja przy okazji dowiedziałam się o jeszcze jednej z tysięcy rzeczy, które dzieją się w świecie i oznaczają po prostu dobro. Ktoś także opowiedział mi o pasterce niedaleko Krakowa, w trakcie której dzieci włączyły się w odtwarzanie szopki betlejemskiej. Pomyślałam, że dla nich to była najwspanialsza lekcja wiary, która nie jest ani konwenansem, ani przyzwyczajeniem, tylko najprawdziwszym życiem. A telewizja, prócz wielu niepotrzebnych komunikatów z odwiecznych naszych awantur politycznych, przekazała na szczęście komunikat o najbliższej akcji Jerzego Owsiaka, który chce tym razem objąć pomocą nie tylko dzieci, ale i najstarszych. I dziennikarze musieli zająć się informacją nie tylko o tym, czego ludziom brakuje, ale i o tym, co można zmienić na lepsze i to nie życzeniowo, ale biorąc w tym udział.

Chciałabym więc na Nowy Rok mieć nadzieję, że ile razy będę słyszała o obronie wartości, usłyszę nie tylko słowa oburzenia, protestu czy wezwania do walki, ale zaproszenie do tego, co da się zrobić samemu i z najbliższymi, żeby te wartości trwały

i nabierały znaczenia w dzisiejszym świecie. Marzę o tym, aby pokazywano mi, ile razy się da, ludzi, którzy nie tylko w te wartości wierzą, ale także wiedzą, jak je realizować: jak Jurek Owsiak, jak Janka Ochojska, jak siostra Małgorzata Chmielewska.

Uczciwe, rzetelne, kościelne…

4 stycznia 2013

Niestety tym razem nie zgadzam się z ks. Kazimierzem Sową i to bardzo zasadniczo. Wypytywany przez „Gazetę Wyborczą" (2 stycznia 2013) o stosunek do mediów ojca Rydzyka (radio, telewizja, gazeta codzienna) spokojnie polemizuje z ich hasłami i bez tracenia równowagi przyznaje, że kierowany przez niego kanał Religia.tv nie cieszy się takim poparciem hierarchii w Polsce, donosi także, że nie będzie rywalem ojca Rydzyka w ubieganiu się o koncesję cyfrową. Eksponuje w tej rozmowie tezę, której nie potrafię przyjąć („Gazeta Wyborcza" podkreśla ją dużą czcionką): „(…) jesteśmy wolnym krajem. Każdy ma prawo głosić dowolną bzdurę".

Otóż, niestety nie – *nego maiorem*. Rzeczywiście teza, z jaką ojciec Rydzyk organizuje protesty, brzmi: żądamy wolności słowa, której nam nie dają. Ale z jednej strony jest to zwyczajna nieprawda, gdyż wtedy twórcy jego mediów nie mogliby się skarżyć na to, że są atakowani. Jak wolność słowa, to przecież wolność słowa… A z drugiej strony, niepodobna wyobrazić sobie uczciwie wierzącego dziennikarza, który wyznawałby zasadę: każdy ma prawo głosić dowolną bzdurę, czyli uchylać się od wszelkiej odpowiedzialności za słowo.

Nie chodzi mi wcale o sam spór na temat miejsca na multipleksie dla telewizji toruńskiej. Chodzi o to, że media mające służyć Kościołowi muszą być do gruntu uczciwe i rzetelne, a nie

tylko w pewnym procencie, jak się pociesza Lech Wałęsa. Nie mogą być jednostronne w informacji, bo to jest fałsz. Nie mogą być byle jakie, bo to jest grzech przeciwko prawdzie – prawda nigdy nie jest byle jaka. Nie mogą być nieumiejętne, bo każda praca musi być pracą odpowiedzialną, a to znaczy, że potrafimy ją wykonywać dobrze. Nie może operować słowem jako narzędziem wzniecania złych emocji, do czego niestety posłużyć mogą również słowa piękne i wzniosłe. Rachunek sumienia za stan mediów w Polsce, a w wyniku tego za stan opinii publicznej i jakość naszego przeżywania spraw wspólnych w ojczyźnie, w Europie i na świecie, w największym stopniu jest obowiązkiem właśnie dziennikarzy spod znaku Kościoła. I tego zlekceważyć nie wolno pod żadnym pozorem.

Kilka słów o uczciwości

10 stycznia 2013

Tu i teraz coraz większy zgiełk i coraz gwałtowniejsze konfrontacje. Może, zamiast włączać się w rzekę komentarzy przeczących jeden drugiemu, jeszcze raz posłuchać Jana Pawła II. Kiedyś powiedział nam coś bardzo ważnego i trudnego – zdanie, do którego prawie nigdy nie wracamy: demokracja bez wartości może się zmienić w zakamuflowany lub jawny totalitaryzm. Co to właściwie znaczy? Jak to rozumieć? Przecież to jest ostrzeżenie, i to wyjątkowo poważne.

Refleksja nad tym zdaniem, taka naprawdę dogłębna, zajęłaby na pewno setki stron. Dziś spróbujmy zadać tylko parę pytań o to, co właśnie się dzieje w tym naszym polskim świecie odzyskanej demokracji. Czy wartością nie jest uczciwość pamięci? A przecież z okazji niefortunnego pomysłu lewicy, by świętować stulecie

urodzin sekretarza partii z lat siedemdziesiątych, i wnioskodawcy, i protestujący przeciw nim zaprezentowali kompromitującą niepamięć, nie wierzę, że niezawinioną. Jedni nie chcieli pamiętać o tym, co złe, drudzy o tym, co wróżyło zmiany na lepsze, nie dające się porównać z terrorem poprzednich etapów komunizmu. Ale nikt się tym zdawał nie niepokoić.

Czy wartością nie jest uczciwość w poszanowaniu prawa przyjętego za zgodą społeczną i według reguł dobrowolnie przyjętych? A przecież w proteście przeciw wyrokowi sądowemu w sprawie lekarza-kardiochirurga użyto przeciw sędziemu wszystkich możliwych zarzutów, nie dbając ani o fakty, ani o reguły postępowania, ani o zasadę od tysięcy lat przyjętą: że we własnej sprawie sędzią nigdy nikt nie jest. A co najsmutniejsze, działo się to często na forum mediów Kościoła i rozgrywane było przez ludzi powołujących się na ten autorytet. I znowu nikt się tym zdawał nie martwić.

Czym możemy się pocieszyć w aurze tak mało pocieszającej? Może rozmową radiową – w Radiu TOK FM – z Tadeuszem Mazowieckim o jego książce *Rok 1989 i lata następne*, jednej z książek jeszcze cenniejszych niż dla nas, starych tygodnikowców, są książki o historii „Tygodnika Powszechnego" i jego twórcy. A może króciutką relacją w radiowej Dwójce o tegorocznych trzechkrólowych pochodach, które nie tylko były przeżyciem pocieszającej wspólnoty, ale – jak mówił autor wypowiedzi – rodzą trwalsze więzi, z których powstają wspólne pomysły, wspólne dobre projekty i dokonania. Tak jak u Jurka Owsiaka, który czasem nie potrafi precyzyjnie dywagować w radiu i telewizji, ale za to pomaga konkretnie, skutecznie i z roku na rok mądrzej.

Komentatorzy jak sędziowie

16 stycznia 2013

Nie mogę nie zareagować od razu. We wtorek, 15 stycznia, rano w jednym z programów radiowych (nazwa tu nieistotna) dziennikarze zaczęli roztrząsać fakt, który po prostu powinien był pozostać sprawą prywatną. Jeden z zasłużonych opozycjonistów i polityków obecnych wyprocesował sobie odszkodowanie za czasy prześladowania i niesprawiedliwe wyroki. Został wymieniony nie tylko z imienia i nazwiska, ale wyliczono także: sumę odszkodowania i zestawiono ją z emeryturą, którą otrzymuje, roztrząsając jej wysokość. Nie mogłam się nadziwić, że – niezależnie od tego, jakie kto z dziennikarzy miał zdanie – ta sprawa w ogóle została potraktowana jako temat, do którego rozmówcy i medium mają prawo.

Osoby publiczne podlegają surowym osądom, bo oczekujemy, że ich publiczna działalność i zachowanie w życiu nie będą przeczyły jedno drugiemu. Ale nasza wiedza o nas samych mówi nam, że sędziami bywamy mało sprawiedliwymi, a to z racji jednej ze słabości, która jest równie brzydka, jak rozpowszechniona. To zawiść bazująca na bardzo subiektywnym poczuciu sprawiedliwości, która to wartość (oczywiście sprawiedliwość) sprawiedliwością jest wtedy, gdy staje po naszej stronie, jak to formułuje bohater filmowy. Dlatego nasze własne zasługi i nasze własne krzywdy tak łatwo mogą nam się wydać większe niż zasługi i krzywdy bliźnich, a ich nagrody mniej zasłużone niż te, które powinniśmy dostać, a nie dostajemy. Boję się trochę, że niefortunna dyskusja radiowa (tylko jeden uczestnik odmówił wypowiedzenia opinii) będzie zachętą dla wielu reakcji działających na zasadzie tego mechanizmu, o którym napisałam. I po co to było?

Tytuł bez wartości

29 stycznia 2013

To już dawno przestało być śmieszne. Widzimy na ekranie ministra, który cztery razy powtarza tę samą informację i prawie ten sam komentarz. To są cztery ujęcia, ale nikt na to nie zwróci uwagi. Satyryczni dziennikarze dodają swoje ironiczne słówko o bezradności szefa resortu. I rzecz jasna udają, że nie wiedzą, iż to po prostu czterech ich kolegów w różnym czasie i miejscu zadało ministrowi podobne pytanie. Ma być śmiesznie i jest niby śmiesznie. Raz jeszcze udało się „przyłożyć" rządowi.

Jest w niedzielnej telewizji taki program, w którym pięciu opozycyjnych polityków przypada na jednego rządowego. Bardzo zadowolony z siebie gospodarz programu cieszy się razem z nimi, gdy kolejnym kwestiom towarzyszą wybuchy śmiechu. Repliki merytoryczne najczęściej kończą się wielogłosem przerywających, bo przecież nie o meritum chodzi. Chodzi o dobrą zabawę, tylko pytanie, czy ona jeszcze kogoś bawi.

Tadeusz Mazowiecki pisze w swoich wspomnieniach – *Rok 1989 i lata następne*, że po 1989 roku prasa obawiała się najbardziej, żeby nie sekundować władzy, bo to był znienawidzony obowiązek prasy oficjalnej w PRL-u. Dzisiaj mam coraz częściej wrażenie, że ta reakcja zrozumiała wówczas, wcale nam nie przeszła, chociaż czasy są kompletnie inne.

Czasem w telefonach od widzów słyszę głosy zaniepokojenia, które świetnie rozumiem. Jeśli wyobrazić sobie Polskę jako statek płynący po wzburzonym morzu, który nie ma innego zadania, niż płynąć bezpiecznie i osiągać kolejne porty, to przecież oczywiste, że temu, kto stoi za kołem sterowym albo się pomaga, albo staje się nieodpowiedzialnym współpasażerem. Na cóż się komuś zda uciecha, że sternik nie jest ideałem? Tylko szaleńcowi. Jest takie

pojęcie, jak „kierowanie z tylnego siedzenia". Wiadomo, że bywa wręcz niebezpieczne i że tego robić nie należy. Tymczasem w sferze opinii publicznej coraz częściej mamy opozycję, która albo drwi, albo podnosi alarm polegający na obsypywaniu sterników emocjonalnymi epitetami. A nie słychać kontrpropozycji typu: lepiej będzie tak i tak ani tym bardziej oferty pomocy. A przecież milionom Polaków na nic się zdadzą sceny takie jak w Sejmie ostatnimi dniami, nie przydadzą się one ani lepszym szkołom, ani lepszym szpitalom, ani lepszym dojazdom do pracy… I jeszcze tysiącom spraw, które składają się na nasz dzień powszedni.

Okładka najnowszego numeru „Tygodnika Powszechnego" (nr 4, 27 stycznia 2013) wniosła na tę arenę opinii publicznej jeszcze jeden ton, którego pismo dotąd, jak mi się zdaje, nigdy nie miało. Okładka, i jeszcze artykuł wewnątrz numeru (*Elegia na odejście* Michała Majewskiego), i jeszcze zdjęcie, i jeszcze tytuł w *Obrazie tygodnia*. To jest ton „religii smoleńskiej". Od razu po pogrzebie nie pora na jakikolwiek komentarz. Pogrzebom należy się milczenie. Więc tylko jedna uwaga na temat ogromnego tytułu na okładce: *Matka polityka*. Polityk to tytuł, który sam w sobie nie zawiera żadnej wartości. Natomiast dzisiaj rodzi setki ciężkich pytań. Tytułem do chwały byłby tytuł: *Matka męża stanu*. Ale takie określenie przysługuje zazwyczaj po zamknięciu bilansu.